



Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska

część II z V

Sygnatura notacji: **N0077**

Data urodzenia: **8.08.1936 r.**

Data nagrania: **12-13.09.2007 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Gdańsk, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Antoni Lech Kujawski**

Czas nagrania: **część I: 77 min, część II: 60 min, część III: 60 min,**

Format nagrania: **video** **część IV: 9 min, część V: 37 min**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska: W Gołdapi siedziałam do 7 lipca. Czyli właściwie w sumie mój pobyt poza domem trwał dziewięć miesięcy. Nic się z tego dobrego nie urodziło, ale w każdym razie taką „ciężę” stanu wojennego przeszłam i wypuszczono mnie właściwie wtedy, kiedy już zaczęto likwidować obóz, wtedy już nikt już nie przyjeżdżał, nie przybywał nowy, tylko wypuszczano kobiety. Ja właściwie, jak każdy zresztą, kto jest zamknięty, odizolowany od świata, właściwie myśli tylko o jednym, kiedy stamtąd wyjdzie, kiedy stamtąd się wydostanie. Bo to że myśmy miały tam zupełnie niezłe warunki materialne, nie znaczy, że nam było lekko, bo to mogło być piekło. Właściwie ten pobyt w Gołdapi mógł być piekłem, ale na szczęście myśmy tam sprostały zadaniu. Nie stworzyłyśmy sobie piekła, nie było tam jakichś kłótni, awantur, nieporozumień, nie było obarczania się nawzajem swoimi problemami, raczej każda z nas trzymała w sobie swój ciężar, chociaż były bardzo dramatyczne sytuacje, bo rozpadały się małżeństwa, mężczyźni nie wytrzymywali niektórzy tego. Ja pamiętam taką sytuację, kiedy jedna z moich przyjaciółek, zmartwiona tym, że listy, które dostaje od męża są coraz bardziej suche, oschłe. Napisała do niego: „Słuchaj, napisz mi choć jedno ciepłe słowo w liście” I on jej przysłał jedno ciepłe słowo: „Kaloryfer”. Wtedy zrozumiała, że to już koniec małżeństwa, ale musiała to sama przez to przejść. Nie mogła nic na to poradzić. To były bardzo trudne sytuacje. Dzieci chorowały, przecież mnóstwo z nas miało małe dzieci. Pamiętam taką sytuację śmieszłą, zabawną, u nas były dwie Pieńkowskie, Krystyna Pieńkowska, Alina Pieńkowska. I w związku z tym były stałe nieporozumienia, bo na przykład przyjeżdża do mnie brat i go nie wpuszczają, bo widzenie już było. A on zupełnie niezorientowany w tych więziennych sprawach, nie umiał jakoś zareagować na to, ale ktoś tam jeszcze miał widzenie i dowiedział się o tym, że mój brat, więc szybko przyleciała dziewczyna, mówi: „Słuchaj, twój brat do ciebie przyszedł, przyjechał”. Więc ja zbiegłam na dół, żeby zainterweniować, bo nie chcieli go wpuścić. On tam stał na dole w tym holu i właśnie

od razu powiedziałam: „Proszę sprawdzić, do której z Pieńkowskich ta rodzina przyjechała”. I oczywiście się okazało, że to pomyłka. Ale ja to też wykorzystywałam niecznie, ponieważ jak się dowiadywałam, że do Alinki przyszli rodzice, to zbiegałam na dół, żeby choć przez chwilę z nimi porozmawiać, bo przyjemnie było mieć kontakt z człowiekiem z zewnątrz, jakkolwiek kontakt. Nawet jeśli to nie była rodzina. Ale wszystko jedno. Porozmawiać z kimś z wolności, to zawsze była przygoda. I pamiętam taką sytuację, że moje przyjaciółki, które pracowały w ośrodku adopcji, więc podlegającemu TPD, poprosiły panią, która tam się wybierała do Gołdapi, właśnie nie wiem, w jakich celach też, ale TPD to tam coś z dziećmi wspólnego, więc pewnie w sprawie dzieci, i poprosiły, żeby się skontaktowała ze mną. Pani zupełnie niezorientowana w sprawach opozycji, zupełnie w ogóle nic nie wiedziała. Chciała się po prostu dowiedzieć prywatnie, jak mi się żyje, czego mi potrzeba, a wiadomo było, że ja bardzo silnie potrzebuję leków przeciwbólowych, bo cierpiałam na migreny, takie ostre i długotrwałe, więc może by mogły mi jakoś tam pomóc. Jednym słowem zwykły ludzki gest solidarności. Ona przyjechała tam do tej Gołdapi i pierwsza rzecz, jaką powiedziała to, że ona musi porozmawiać z panią Pieńkowską. To naturalnie dziewczyny wydelegowały Alinę, nikomu nawet do głowy nie przyszło, że to może być kto inny niż Alina, do oficjalnych kontaktów. Alina miała synka, który w tym czasie miał siedem lat i opiekowali się nim dziadkowie. Więc myślała, że TPD chce się zaopiekować jej dzieckiem. Stała więc w progach, dumnie wypięła pierś i powiedziała: „Proszę pani, nie chcę mieć żadnych kontaktów z TPD. Proszę sobie raz na zawsze zapamiętać. Nie będę z panią rozmawiała, nie mamy o czym. Moje dziecko ma opiekę i do widzenia”. Trzasnęła drzwiami i wyszła. A potem one pytają: „Słuchaj, a właściwie dlaczego ty nie chciałaś rozmawiać z tą panią?”. Ona im to przekazała i one były ciężko zdziwione, że ja nie nawiązałam żadnego kontaktu. Tak że takie sytuacje zdarzały się od czasu do czasu. Czasem były zabawne, czasem były kłopotliwe, ale trzeba było po prostu zawsze trzymać rękę na pulsie i wiedzieć. Trzeba było po prostu pilnować tych swoich spraw. Zesłałam z tematu i nie pamiętam, o czym mówiłam.

Antoni Kujawski: Może teraz coś udałoby się powiedzieć o waszym życiu tamtym, bo pewno jakoś ten czas próbowałyście panie...

Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska: Tak.

Antoni Kujawski: sobie wypełnić.

Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska: Więc wie pan, myśmy miały, wszystkie chyba właściwie, taki etos więźnia. Ja pamiętam jak nam pozwolono skorzystać z kantyny, to pierwsza rzecz, jaką dziewczyny kupiły to były cebula i czosnek. Dla mnie koszmar, ponieważ ja czosnku nie jadam, ale zjadłabym jakiś tam kawałek, gdybym wiedziała, że one się najadły, ale one zawsze to robiły jakoś tak jak mnie nie było. Ja przychodziłam, ciężka atmosfera nie do wytrzymania. Cebula i czosnek, to pierwsza rzecz, bo właśnie w więzieniu to trzeba, żeby szkorbutowi zapobiec już pierwszego dnia pobytu w więzieniu, więc to może było trochę przedwczesne, ale też funkcjonował i ten etos Anhellego, tego zesłańca, który musi godnie reprezentować i tak dalej. W związku z tym myśmy się trzymały, ale jednocześnie trzeba było sobie zorganizować życie takie, które zapełni nam tę pustkę, jaką daje odosobnienie, bo odosobnienie to jest przede wszystkim pustka, oddalenie od rodzin, od bliskich, od problemów, od tego wszystkiego, co robimy, co nas naprawdę interesuje. Ponieważ było tam dużo pań ze statusami naukowymi, więc od razu

powstały różne możliwości dokształcania się. Były więc kursy językowe, uczono angielskiego, francuskiego. Kto co umiał. Były wykłady z filozofii. Jakies tam jeszcze kursy, tylko już nie pamiętam, nie... Aha, właśnie, przecież ja też coś robiłam. Były też takie rozmaite sympozja, pogadanki na temat literatury polskiej, więc oczywiście "Dziadów" część trzecia, przecież to był jak gdyby sztandarowy temat, prawda? "Cela Konrada". Były również takie parateatralne spotkania. To znaczy robiłyśmy sobie takie wieczory poetyckie. Były wśród nas poetki, ale była też i dostępna literatura, bo tam była biblioteka, do której miałyśmy dostęp w Gołdapi. Dom wczasowy, więc we wszystko zaopatrzone. I ja oczywiście jako nauczycielka, która wciąż robiła, całe życie robiłam akademię ku czci, też brałam w tym udział i takie akademie ku czci organizowałam, były więc wieczory poetyckie, na przykład Krystyny Kuty, Kiki, która pisała wiersze, bardzo piękne wiersze zresztą, których nigdy nie wydano. Nie wiem, dlaczego ona sama jakoś nie umiała zabiegać o to, a mnie „Tygodnik Powszechny” odmówił, ja tam wysłałam te wiersze, a Hennelowa jakoś się nie zapaliła do nich. I potem była poezja Herberta, była poezja z okazji Konstytucji 3 Maja, nawet pisaliśmy do... Ania Walentynowicz pisała, bo ona korespondowała z Herbertem, on napisał do niej, kiedy się dowiedział, że jest internowana, napisał do niej bardzo piękny list i właśnie, że gdyby cokolwiek potrzebowała, to proszę się do niego zwrócić i ja powiedziałam: „Zwróć się o literaturę Chrzanowskiego, okresu Polski niepodległej”. To jest literatura Polski niepodległej, Chrzanowskiego. Tam są najlepsze teksty źródłowe, najlepsza antologia, bardzo to lubię i zawsze to robiłam w szkole, właśnie te teksty o miłości do ojczyzny, o odpowiedzialności za ojczyznę, o takich właśnie rzeczach i on jej to przysłał. Tak że mieliśmy dostęp do źródeł, do tekstów. Zrobiliśmy bardzo fajną akademię na 3 maja. 3 maja to zresztą w ogóle był bardzo dramatyczny dzień, bo myśmy wtedy, wtedy właśnie SB usiłowało zdjąć flagę, którą wywiesiliśmy z kirem, ale to o tym może jeszcze opowiem innym razem. To była pierwsza taka interwencja SB wewnątrz, bo oni na ogół na zewnątrz interweniowali, ale że wewnątrz, że wejdą do środka, że się przebiją i będą wręcz toczyli z nami bój taki ręczny, to tego żeśmy się nie spodziewały. To była pierwsze i ostatnie chyba takie właśnie wystąpienie, taka sytuacja. Więc urządziłyśmy wieczorki poetyckie. To zajmowało trochę nam i wyobraźnię, i jakoś sprostowywało potrzeby kulturalnej. Była wśród nas przez krótki okres, chyba tylko jakies półtora miesiąca, Halina Winiarska i była Halina Mikołajska. Halina Mikołajska nie brała udziału w tych poetyckich wieczorkach, jakoś nie chciała, natomiast ona dawała takie spektakle, monodramy w pokoju. Siadało nas pięć-dziesięć osób, tyle, ile się zmieściło w pokoju, ona tak siadała twarz w twarz, kolana w kolana, bo to dosłownie stykałyśmy się kolanami i wygłaszała swoje monodramy. Bardzo piękne to były spotkania, takie ze światem sztuki, z teatrem. Poza tym śpiewałyśmy, był chór, który występował tylko w mszach świętych, ale te msze święte były dla nas bardzo ważne. Zawsze takie rzeczy, takie wspólne modlitwy są ważne w takich sytuacjach trudnych. Miałyśmy bardzo cudownego kochanego księdza kapelana, który się nami opiekował, ksiądz Aleksander Smędzik, on do dzisiaj jeszcze się nami opiekuje, żyje, jest bardzo już chory na serce, ale wciąż jeszcze jest bardzo czynny. I te msze były również ważne na przykład dlatego, że one nas integrowały z wojskiem. Myśmy się chciały jakoś z tym wojskiem pogodzić, bo wojsko, które miało nas pilnować, było zawsze szkolone przedtem, zanim objęło tę funkcję. Tych żołnierzy się szkoliło i mówiło im się, że te osoby, które tam są, to są te, które chcą przewrócić ustrój, zepsuć wszystko, co Polska Ludowa zrobiła, że to są recydywistki przede wszystkim, lesbijki, złodziejki. Jednym słowem margines społeczny. Oni byli źle do nas nastawieni początkowo, ale już tak po dwóch tygodniach zmieniali swój stosunek do nas. Myśmy co młodsze dziewczyny, potrafiły ich trochę rozmiękczać, jakoś tam z nimi rozmawiały, a to zaśpiewały, a to tam rzuciły im jakąś kanapkę z balkonu. Właśnie między innymi takie te msze były dla nas dlatego ważne, bo myśmy wtedy szeroko otwierały okna, było słyhać, jak śpiewamy i jak się modlimy i ten żołnierz, który stał na warcie naprzeciwko, zdejmował czapkę z gło-

wy i cały czas stał na baczność i się modlił z nami. Tak że oni też w jakiś sposób z tego korzystali. Bo ich przecież nie wypuszczano do kościoła. Tak samo chłopcy często, więcej, chcieli, potrzebowali tego. Tak że miałyśmy tam opiekę duchową, opiekę kulturalną, którą same żeśmy sobie tworzyły. Również było też jakieś naukowe podłoże. Też na przykład Ania, Ania to właściwie rzadko brała udział w takich rzeczach, Ania Walentynowicz, ale Joasia Gwiazdowa nigdy nie odmawiała okazji do opowiedzenia o wolnych związkach zawodowych. Były też nauczycielki z Lublina, Zenia Kitówna na przykład, która bardzo chętnie też opowiadała o strajku nauczycieli w Lublinie, bo to był taki pierwszy strajk nauczycieli Solidarności, którzy chcieli jak gdyby nas wesprzeć, nasz strajk gdański tutaj, ten w Urzędzie Wojewódzkim, i ze swoimi postulatami wystąpili w taki sposób, że właściwie nie przerywali nauki, przygotowali, to był bardzo trudny dla nauczycieli strajk, bo oni przygotowywali tematy, które przeprowadzali na lekcjach, ale nie uczyli. Nie uczyli, tylko... Znaczący nie przerywali pracy z młodzieżą, ale za to ich indoktrynowali. Więc to właśnie... Każdy region, który chciał jak gdyby w jakiś sposób zaistnieć w świadomości innych, mógł, miał prawo i możliwość, i okazję opowiedzenia o tym. Były również wykłady z psychologii, na przykład, bo tam były dwie panie, których specjalnością była psychologia. Basia Malak, między innymi, z którą mieszkaliśmy w jednym pokoju. Pomagała nam bardzo, bo te wykłady z psychologii były bardzo potrzebne nam po prostu, żeby jakoś podtrzymać nas w tej trudnej obecności wzajemnej, bo mi się wydaje, że łatwiej by nam było, gdyby te pokoje były zamknięte, ale jak któregoś dnia nam po prostu odebrano klucze i nie można było zamknąć pokoju, to mogło być już piekło, bo już właściwie człowiek nie miał chwili dla siebie, chwili, kiedy był sam. Ja pamiętam, przeżywałam taki bardzo trudny kryzys psychiczny, już wczesnym latem to było, jakiś czerwiec, maj, czerwiec, jakoś tak. Już większość osób powychodziła, codziennie prawie słyszeliśmy komunikat, że proszę, że te i te osoby jadą do domu. Ja zawsze z takim zapartym tchem słuchałam tych komunikatów, chociaż wiedziałam, że mnie nie wypuszczą przed końcem roku szkolnego. Właśnie o to się najbardziej bałam, żeby ja nie miała kontaktu z młodzieżą. Ale jednak nadzieja jest nadzieją i zawsze czekałam, że może moje nazwisko padnie. Nie padało nigdy. Dopiero już w czasie wakacji właściwie. Trudno mi było bardzo wytrzymać ciągłą czyjąś obecność, nie móc się... Wiedziałałam, córka moja zdaje maturę w tym czasie, dostawałam od niej telegramy: „Mamo, pisałam na temat...” i tam temat, na który pisała. „Cały mój kontakt z córką był na zasadzie, że ona mi wysyłała telegram. Ja do niej nawet nie mogłam tego zrobić. Tak że druga córka właśnie skończyła szkołę podstawową i starała się o przyjęcie do szkoły średniej. Zdecydowała, że chce, żeby to było liceum plastyczne. W moim przekonaniu nie miała żadnych predyspozycji do tego. Okazało się, że się myliłam, ale tak ją oceniałam. I ona napisała, narysowała taki kwiatusek, napisała: „Mamo, dostałam się do liceum plastycznego. Jak myślisz, czy to dobry pomysł?” Ja myślałam, że chyba bardzo niedobry, ale dziecko się dostało i skończyło, i pracuje teraz w tym zawodzie. Tak że okazało się, że to był dobry pomysł. Byłam bliska wariactwa, szczerze mówiąc. Byłam bliska takiego już jakiegoś bardzo silnego kryzysu psychicznego i wtedy uratowała mnie koleżanka, której się zwierzyłam z tego, że sobie już nie mogę, że już nie mogę wytrzymać, przecież ani przez chwilę człowiek nie jest sam. Ona mówi: „Słuchaj, a ja wiem, że jeden pokój jest pusty i ja tam byłam, bo tamte drzwi od werandy, od balkonu są niedomknięte i tam można wejść. Jak chcesz, to ja cię tam zainstaluję, ja ci tam przyniosę jedzenie, a wieczorem, jak będzie apel wieczorny, to ja z łazienki odpowiem, że jestem”, bo czasem tak robiłyśmy, że tam z łazienki głos się odzywał, że tak, jest. A to tam nie zaglądano już przecież. „Ja się stawiam za ciebie na apel, a ty jak zechcesz, to sobie tam posiedzisz tak długo, jak będziesz chciała”. To mnie uratowało, bo ja już nie musiałam tam iść do tego pokoju, ja tam nie korzystałam z tej oferty, ale świadomość tego, że ja mogę się odizolować, że ja mogę pobyć troszeczkę sama z sobą, była dla mnie bardzo ważna. Taka naprawdę wielka sprawa. Dlatego, że człowiek z własnymi problemami, z własnymi myślami

nie jest w stanie ciągle uczestniczyć w problemach innych ludzi. To mi się wydawało takie mało ważne, co tam ktoś tam zgubił, ktoś tam, coś tam czegoś nie dopisał, tu znowu nie dostał listu. To są błahe sprawy. Prawdziwe problemy to mam ja. Każdy tak myślał. Tak że ten pobyt tam właściwie w Gołdapi, to był taki trudny i dobry, i owocny, bo teraz żeśmy się spotkały po latach, po 20 paru latach, właściwie po 27. W tym roku był zjazd Gołdapianek i okazało się, że te spotkania są bardzo serdeczne i rozstania bardzo takie trudne, że my się właściwie nadal czujemy dobrze ze sobą. To świadczy dobrze o nas i o tamtym właśnie pobycie, że tam nie było takiego piekła psychicznego, które mogło być. Jak żyłyśmy? Więc nieźle żeśmy sobie tam żyły, ponieważ te warunki, które nam stworzono, to były zupełnie przyzwoite. Trzeba przyznać, że kucharki, te wszystkie panie obsługujące, bardzo starały się o to, żeby nam to właśnie życie jakoś ułatwić, że tam naprawdę tak przyzwoicie nas karmiono, chociaż to był stan wojenny bardzo trudny, jeśli chodzi właśnie o te rzeczy, o materialną stronę życia. Ówczesny biskup tamtej diecezji również dbał o nas i przysyłał nam paczki, które gdzieś tam z Zachodu dostawaliśmy. Tak że myśmy były lepiej sytuowane niż te ubeczki, które nas pilnowały tam. One nie miały tego, co myśmy miały. Na przykład przyjechał międzynarodowy Czerwony Krzyż nas odwiedzić, zainteresował się nami i przywieźli nam paczki sanitarne. Paczki sanitarne w tym czasie to było marzenie każdej kobiety. Ja pamiętam jak w aptece pojawiała się wata, to stawała kolejka na kilometr. To przecież był najbardziej deficytowy produkt, jaki można było sobie wyobrazić i najbardziej kobietom potrzebny. I myśmy wtedy dostały właśnie takie rzeczy jak szampon Timotei. Pamiętam do dzisiaj, do dziś go używam, dlatego że mam do niego słabość przez to, że był pierwszy szampon, który dotarł do mnie z Zachodu. Mydełko pachnące, prawdziwe. Jakies tam właśnie wata, co tam, no, to jeszcze takie pierwsze... Aha, pastę do zębów zachodnią, takie wspaniałości, które można było dostać tylko w Peweksie za ciężkie pieniądze i których nie miały nasze strażniczki. One się do nas tam przymilały, czy one by mogły dostać, bo nam zostało trochę tych paczek. Powiedziałam, że nie, absolutnie nie, bo jak przysłał nowe dziewczyny, to co one, jak one będą żyły bez paczki. I właśnie materialna strona nie była taka zła. Nawet do tego stopnia, że myśmy się troszeczkę bały, co będzie, jak wyjdziemy i tego właśnie wszystkiego nie będziemy miały. Ja pamiętam, że ja regularnie, ponieważ myśmy nie były w stanie tego spożytkować, robiłam taką paczkę, pakowałam to do plastikowej torby i niosłam na dół do kucharek. Tam, do tych pań z obsługi. Kładłam tam przy pralce, na przykład przerzucałam jakimś brudnym ręcznikiem i mówiłam, że: „Proszę sobie to zabrać. Tam jest dla was coś”. I tam właśnie były te wspaniałe margaryny zachodnie, ten żółty ser. Co tam jeszcze, cukier, takie rzeczy, kawa przede wszystkim, herbata. To, czego w sklepach się nie uświadczyło. My już tego nie pamiętamy, ale tak było.

Antoni Kujawski: A może pani powiedziała by też coś jeszcze o swoich córkach, bo wspomniała pani, że one... Ale przecież same były przez pewien czas.

Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska: Więc wie pan, okropną krzywdę zrobiono Anusi, właśnie mojej młodszej córce, bo to było tak, że mój mąż się trochę ukrywał. On tego nie powiedział głośno, ale on się trochę ukrywał w tym czasie, kiedy już było wiadomo, że go aresztują, bo chciał jeszcze do Gołdapi pojechać i nosił zresztą tutaj znaczek Solidarności w tym czasie, nosił zawsze z sobą i pamiętam, że on nas odwiedził nawet raz kiedyś, bo jeszcze przed samym aresztowaniem był u nas tam w Gołdapi i dotarł, ale tym razem chciał pojechać z córkami. Oni wszyscy troje mieli jechać i były już bilety wykupione. Przyszło trzech panów, „Dzień dobry”, „Dzień dobry, czy jest tatuś?” „Nie ma tatusia” „A kiedy będzie?” Ponieważ wtedy mnóstwo ludzi obcych przychodziło, takich, których nikt nie znał, bo to tam różni panowie i panie z pracy, czy to moje koleżanki, czy męża, przyszli się dowiadywać, co słyhać, co się

dzieje, jak tam leci, więc ona uznała, że to ktoś z zaprzyjaźnionych osób i powiedziała, że tatuś będzie tam przed 6:00 na pewno, bo właśnie wyjeżdżamy dzisiaj. I tyle. To oni się punktualnie zjawili. Ale jak się córka zorientowała, że to właśnie wpuściła do domu esbeków i poinformowała o tym, kiedy ojciec będzie, to się tak strasznie rozszlochała, tak strasznie rozplakała, że oni zupełnie zgłupieli. Nie wiedzieli, co zrobić, nie umieli jakoś zaradzić temu, bo dziecko to dosłownie wpadło w histerię. I oni wtedy mieli zrobić rewizję i powiedzieli: „Panie Adamie, niech pan tu podpisze, my tego przeszukania już nie zrobimy”. Już chcieli szybko wyjść, byle już tylko nie widzieć tej rozpaczki dziecka. One były obie bardzo zbuntowane, bo to tak było, szwagier w więzieniu, ojciec w więzieniu, matka internowana. I kiedy moja córka szła do prokuratora, który prowadził sprawę jej ojca, to się stawiała mu tam. Mówił: „Jak się czuje mama?” „No, jak się może czuć? Jak pan sobie wyobraża? Jak ona się może czuć?” Tak odpowiadała. A on się nazywał, wymienię te nazwiska, to się nazywał pan Kumaniecki. Chyba dobrze myślę. Dobrze, chyba tak zapamiętałam to nazwisko, bo to był bardzo przyzwoity człowiek. On wcale nie chciał sądzić mojego męża. Po prostu taki miał zawód i wcale nie był napastliwy. Robił, co mógł. Jak mógł dać dodatkowy talon, to dawał, jak mógł dać przepustkę dziecku, żeby zobaczyła ojca po raz tam kolejny, chociaż to już było poza regulaminem, to też to robił. Szedł nam na rękę i zupełnie przyzwoicie się zachowywał, ale reprezentował taką właśnie władzę, której moje dzieci nie uznawały i przeciwko której były zbuntowane. Więc moją Taniusią, jak szła do matury, to wtedy już mąż był w więzieniu, ja byłam w tej Gołdapi, nie miałam właśnie z nimi żadnego kontaktu, zajęła się moja przyjaciółka, Iza Gryczanik, która właśnie zmarła parę tygodni temu, niecałe dwa miesiące temu zmarła. I ona po prostu przyjechała tutaj i przez te kilka dni, kiedyś ktoś powinien być z dzieckiem, była, żeby z nim porozmawiać, jakoś postawić na nogi, bo to przecież stres potworny i zdenerwowanie, i w ogóle wszystko. Wiemy, co to jest matura w rodzinie. Mieszkała tutaj, gotowała im obiady, wypychała za drzwi, a wieczorem rozmawiały o wszystkim, co, jak było, jak się pisało, co napisała. O tym wszystkim, co jest dla dziecka ważne w tym momencie. Tak że ja byłam spokojna jak gdyby o to, że dziecko jest zadbane. Poza tym wie pan, myśmy odczuli, myśmy, znaczy moja rodzina, właśnie moje córki głównie, ogromnie to było dla nas ważne i to bardzo było dla nas krzepiące, ogromne zainteresowanie i życzliwość ludzi. W tym czasie to był taki okres luksusu psychicznego, komfortu psychicznego, w jakim żyliśmy. Bo społeczeństwo nas akceptowało i to się czuło wszędzie. I nie żyło się w pustce. Dzieci moje nie żyły w pustce. Przede wszystkim zaczęły docierać paczki z Zachodu. Mówiłam o tym, że dużo ludzi wybrało emigrację już w pierwszym rzucie jak gdyby i jeszcze przed stanem wojennym dwie moje koleżanki wyjechały do Paryża na zaproszenie tamtejszych związków zawodowych. Jak usłyszały o stanie wojennym, to natychmiast dały nasz adres tam na te, tam powstał jakiś komitet, taki który się zajmował tymi sprawami właśnie Solidarności, internowanych i tak dalej, i one natychmiast mój adres, nasz adres podały i w związku z tym zaczęły napływać paczki z Zachodu. Dzieci więc miały wszystko. Dzieciom niczego nie brakowało. Ja pamiętam, że największą moją troską to było jak to wszystko, jak wróciłam, gdzie to wszystko upchnąć, gdzie to wszystko rozdać, komu to rozdać. Dawałam na przykład listonoszce jakąś tam czekoladę, kakao. Ona się bała przyjąć. Uważała, że to jest jakaś prowokacja troszkę, ale przyjmowała potem już, brała. Kiedy pracowałam i jak wróciłam z Gołdapi, to się zgłosiłam zaraz do pracy i zostałam przyjęta, ale na wieczorówkę. Znaczący tego mi nie powiedziano, ale dyrektor tak ładnie to jakoś właśnie załatwił, że kiedy ja przyszedłam do pracy na 9:00 rano na rozpoczęcie roku szkolnego, to on stanął w progu i powiedział: „Pani zaczyna pracę o 15:00 razem z wieczorówką”. Więc przyszedłam o 15:00 i tam miałam już z kolei bardzo luksusową sytuację, ponieważ uczyłam ludzi dorosłych, którzy wiedzieli, co to jest stan wojenny, dużo wśród nich było stoczniovców, tak że te przyjaźnie do dziś jeszcze trwają. I pamiętam, że właśnie to wykorzystałam, że to byli ludzie rodzinni. Zapytałam: „Kto z was, proszę mi

to napisać, jakie macie dzieci?" Bo dostałam paczkę, w której było 47 par dziecięcego obuwia, dziecięcych butków. Buty wtedy dostać. Nie wiem, czy panowie pamiętacie, ale wtedy były talony na buty. Raz do roku można było sobie kupić jedną parę, a to dzieci przecież potrzebują więcej. I oni mi napisali, ja ten cały wór butów przyniosłam i każdy z nich dostał jakieś buty dla dziecka, zależnie od wieku i potrzeb. Tak że ja... Właściwie ten stan wojenny to był taki dobry dla nas okres. To nie był zły okres. Po pierwsze wiedzieliśmy... Nie było takiego rozdziału i rozbicia wśród Polaków. Myśmy wiedzieli, kto jest naszym wrogiem, przeciwnikiem, a kto jest po naszej stronie. To było wszystkie jasne, klarowne, czyste. Pracowaliśmy bezinteresownie, robiliśmy to, co nam się wydawało ważne. Otaczali nas ludzie, których do dziś uważamy za swoich przyjaciół. Więc to był właściwie najlepszy okres w moim życiu. Przy tym te paczki zaowocowały później przyjaźniami. Myśmy odpisywali tym ludziom i mieliśmy właśnie takie środowisko Niemców, ja powiedziałam, że znam sympatycznych Niemców. Właśnie do nich jeździłam, najpierw oni do nas przyjechali, potem zaprosili Taniusię, bo myśmy jeszcze nie mogli. Myśmy do samego Okrągłego Stołu nie mogli nigdzie wyjechać. Taniausia tam się bardzo zaprzyjaźniła z nami. Potem oni znowu tu przyjechali i wreszcie ja w tym roku, w zeszłym roku tam złożyłam wizytę w tym Flensburgu. Tak że... Również takie zaprzyjaźnione środowisko z małego miasteczka francuskiego, Marans przysyłało nam paczki, tam chyba z pięć rodzin się na to składało. To było takie środowisko ludzi zrzeszonych gdzieś w kościele katolickim. Francuzi, ale właśnie działający gdzieś w parafii, gdzieś, coś takiego. Ja nie bardzo dobrze wiem, o co im chodziło, bo moja przyjaciółka mówi po francusku, ja nie. I też właśnie tam mój zięć na przykład ich odwiedził z moim mężem kiedyś już, jak już mogli wyjechać. Więc w sumie ja nie narzekam na ten okres. Wydaje mi się, że teraz jest trudniej, bo trudniej jest nawet rozmawiać. Ja się staram nie rozmawiać na tematy polityczne z moimi przyjaciółmi, tymi właśnie przyjaciółkami na przykład ze szkoły, bo nie wiem, na co trafię. To już są tematy niebezpieczne. To są już tematy takie powiedziałabym zapalne. Ktoś mi kiedyś powiedział, że: „Wiesz, ja bardzo lubię twojego męża, chociaż on jest z PiS-u”. Mój mąż nie jest z PiS-u. On tylko pracuje dla senator, pani senator, która jest w PiS-ie. I to wszystko, ale właśnie już taka jakby trochę wrogość. Jakby taka... „Chociaż on jest z PiS-u” Tak że... Mój powrót do szkoły. Więc właśnie tak jak dowiedziałam się, że zaczynam o 15:00 i w ten sposób zaczęła się moja historia z wieczorówką. Bardzo mi było trudno się zaaklimatyzować na wieczorówce. Dlaczego? Dlatego, że ja jakoś fizycznie, kondycyjnie byłam bardzo wtedy słaba, niesprawną. Zасыпiałam na swoich lekcjach, do tego stopnia. Zresztą to chyba nie było tak zupełnie bez kozery, ta moja właśnie taka bezradność, ponieważ wszystkie moje koleżanki, wszystkie osoby, z którymi rozmawiałam, zrobiły sobie roczną albo półroczną przerwę po Gołdapi. Bo takie silne napięcie psychiczne, taka trudna psychologicznie sytuacja, długo przeciągająca się, że potem one jakoś nie wytrzymały tego kondycyjnie i musiały odpocząć sobie, a ja od razu wkroczyłam do szkoły. Natychmiast poszłam pracować i powiedziałam zresztą, że ja się szkoły nie wyrzeknę w życiu, nawet gdybym miała tam być sprzątaczką. Na szczęście byłam nauczycielką i co mnie uniknęło, uniknęły mnie rozmowy na temat lojalności wobec stanu wojennego, podpisywanie tych wszystkich papierków, te wszystkie, ten cały proceder, który wtedy był uprawiany. Na wieczorówce tego nie... Jakoś mnie to ominęło. Znaczący tego nie stosowano. Po pierwsze, a po drugie, jak już mówiłam, miałam do czynienia z ludźmi dorosłymi. Tam był nawet, wśród moich uczniów, jeden zomowiec, ale on się do tego w życiu nie przyznał mnie w każdym razie i błagał tych swoich kolegów, żeby mnie tego nie powiedzieli. Ponieważ ja sobie nie oszczędzałam wygłaszania własnych poglądów wtedy, zwłaszcza na wieczorówce, gdzie już mówiłam, wiedziałam, do kogo mówię, prawda, że mówię do ludzi dorosłych, myślących, ale oni pierwszą rzecz, jaką mi donieśli, to to, że Jasiu jest zomowcem. Z tym, że ja bardzo lubiłam tego chłopaka, bo był bardzo inteligentny, więc go jakoś tak przeszłam nad tym do porządku. W tej szkole pracowało mi się dobrze. Jak już powie-

działam, do dzisiaj jeszcze mam parę osób, które ze mną się chce spotykać i spotyka, ale też upomniała się o mnie szkoła dzienna. Moi uczniowie ze szkoły dziennej, których uczyłam i którzy mówili do mnie „Ciociu”, bo byliśmy bardzo mocno zaprzyjaźnieni z niektórymi klasami, postanowili nawiązać ze mną kontakt. Pierwszy raz, jak przyszedłam do szkoły na dużą przerwę, oni mnie otoczyli, rozmawialiśmy, tak jak to na przerwie, to tam dużo się nie porozmawia, od razu doniesiono do SB, że byłam i natychmiast dzieci zaczęły być przesłuchiwane. One na drugi dzień już były przesłuchane, więc ja postanowiłam, że więcej do szkoły nie pójde przed południem, więc ja się z nimi oficjalnie nie spotkam, tylko jeżeli już, to w takim miejscu, gdzie mnie nie znajdą. I znaleźliśmy tutaj w kościele świętego Stanisława, biskupa, u księdza Rurarza, jakoś tam się do niego zwróciłam z propozycją taką, czy mogłabym się spotykać z młodzieżą w salce katechetycznej. „A co pani tam będzie robić?” Ja mówię, że będę mówić z nimi o tych aspektach literatury, które nie są poruszane w szkole, na przykład religijnej. Mamy dużo bardzo wątków religijnych w literaturze, a młodzież nic o tym nie wie. I ksiądz się dał na to nabrać. Wprawdzie kiedyś przysłał swojego wikarego, żeby się przysłuchał lekcji, ale ja akurat miałam przygotowany materiał na temat literatury maryjnej u Słowackiego. I właśnie wykorzystałam to jeden jedyny raz, ku zdziwieniu moich słuchaczy. Ale właśnie ksiądz miał, to chciał, usłyszeć właśnie właściwą treść mojego spotkania. Myśmy się tu spotykali i ja ich doprowadziłam do matury. Tak że również oni byli kolporterami mojej prasy, a ja dostawałam od nich prasę i także pomagałam im w redagowaniu tego, tej gazetki szkolnej. Ona się nazywała „U nas w dwójce”. Niestety chłopak, który to robił, główny taki inicjator tej działalności, bardzo zdolny, przepiękny chłopiec, dostał się do szkoły aktorskiej w Warszawie. To był wybitnie zdolny aktor. Nie żyje już. Umarł w Niemczech. To bardzo wielki cios dla mnie był, bo to byłam bardzo z nim zaprzyjaźniona i to był ogromnie wartościowy człowiek. Ale część z nich jeszcze funkcjonuje, żyje, ma się dobrze. Pokończyli studia, porobili rozmaite kariery. Tak że... Jeden z nich został ministrem kultury nawet, Jarek Sellin. Tak że sporo osiągnięć mam w tym. I to jest...

Antoni Kujawski: A nazwisko tego aktora, gdyby pani zechciała.

Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska: On się nazywał Adam Mieczkowski. I właśnie zrezygnował z tych studiów, nie wiem dlaczego, po pierwszym roku poznał jakiegoś chłopaka, zaprzyjaźnił się z nim bardzo, wyjechał do Niemiec i tam również pracował w teatrze. Zaczepił się gdzieś w teatrze, nie jako aktor, tylko jako pomocnik reżysera. Tak że już nekrolog, jaki przeczytałam w tej gazecie niemieckiej, to że był asystentem reżysera, który pomagał mu, współpracował z nim przy wystawieniu sztuki następnej, której właśnie po jego śmierci była premiera.

Antoni Kujawski: Czy takie lata wcześniejsze, jakieś, powiedzmy, nawet przed 1970, 1968–1970, czy tutaj jakieś zdarzenia też warto by przywołać?

Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska: Tak. 1970 rok na Wybrzeżu. Pamiętam, co się działo tam pod politechniką i na tym skrzyżowaniu między teatrem a politechniką. Poleciałam tam oczywiście, ponieważ wtedy pracowałam w szkole zawodowej i tak sobie wyobraziłam, że w tym czasie mogli wracać moi uczniowie z warsztatów. Akurat tędy pewnie przechodzili. Jak ich znałam, to właśnie tak było, przechodzili. Więc uważałam, że skoro moi chłopcy mają tam być w tym zamieszanu, gdzie policja, gdzie biją, gdzie gazy, to ja muszę też tam być, żeby w razie czego ich chronić po prostu i zwyczajnie. I poleciałam tam na to widowisko, znaczy na tę, tę... To było pierwsze moje takie zetknięcie

z walkami ulicznymi, bo to przecież były walki uliczne. Myśmy tam, ja pamiętam, że złapałam jakiegoś zomowca, nie zomowca, nie było, jakiegoś milicjanta za klapy, bo właśnie akurat byłam tam troszkę tak jak gdyby na zapleczu tego głównego frontu i tam stały te suki z młodzieżą, którą oni tam pakowali do nich. I słyszałam ten łomot, kiedy jakiegoś chłopa tam wepchnęli i nie było nic słychać, tylko taki łomot. Wiedziałam, że oni go biją i tego nie mogłam znieść. Rzuciłam się na tego pierwszego z brzegu milicjanta i zaczęłam krzyżeć na niego. „Co robicie? Co robicie z polskimi dziećmi?” A on mi na to mówi: „A pani wie, ilu naszych jest pobitych?” I wie pan, że ja wtedy zupełnie straciłam wątek, bo mi się wydawało, że zabici są. Ja to tak rozumiałam, że oni są martwi. Że kilku milicjantów, czy iluś tam milicjantów leży martwych, teraz pobitych przez ten tłum. Się okazało, że oni tam mieli jakieś drobne zadrapania. Ale wtedy jakby przestałam walczyć przez moment. Ale już wtedy, w 1970 roku, zrozumieliśmy, że to między nami a władzą jest walka, że tu już nie ma porozumienia żadnego. Tu na Wybrzeżu myśmy to zrozumieli. I wtedy, kiedy naocznie się już jak gdyby z tym zetknęłam, to już potem wszystkie demonstracje były takie same.

Antoni Kujawski: I takie walki były też w 1968 roku. Studenci...

Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska: Tak, tak.

Antoni Kujawski: Politechnika, vis a vis konsulatu francuski i tam się to rozgrywało.

Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska: Tylko, że studenci się zamknęli w akademikach. Oni nie wychodzili, oni tylko wywieszali jakieś tam transparenty, jakieś takie rzeczy. Natomiast taka walka, gdzie rwano bruk, to już w 1970 roku tak było właśnie tam. Szły kamienie w ruch. A potem to wszystko już obserwowałam wiele razy. Znacząco obserwowałam, uczestniczyłam w tym. Jakoś na te demonstracje mnie zawsze nosiło. Pamiętam, jak szliśmy na 1 maja, no, na 1 maja to zawsze chodziłam, dlatego, że tam młodzież pędzili również. W szkole, gdzie chodziła moja córka, to na przykład tam doprowadziłam do tego, że klasa w ogóle się nie stawiała. Dlatego, że na wywiadówce, na spotkaniu z rodzicami, pani powiedziała, że będzie pochód 1-majowy i że prosi, żeby wszyscy stawili się w tym dniu tam o tej i o tej godzinie. A ja zapytałam niewinnie czy szkoła daje gwarancję, że dzieci będą bezpieczne. Tylko tyle chcę wiedzieć. I szkoła oczywiście gwarancji takiej dać nie mogła, w związku z tym żadne dziecko się nie zjawiało na pochodzie. Pani miała wolne. Moje córki oczywiście też nie demonstrowały. Znacząco demonstrowały, ale nie w tym kierunku. I pamiętam, że tak żeśmy kończyli tę demonstrację gdzieś na Grunwaldzkiej, tam gdzieś na wysokości ulicy Do Studzienki obecnej, to się tak już tam rozprasało, ale myśmy przystanęli przy takiej budce telefonicznej, gdzie milicjant coś tam meldował właśnie i ja tak się przyglądałam temu z ciekawością. Wszedł drugi milicjant i powiedział: „Rozejść się! Co wy tu robicie zgromadzenie? Rozejść się!” do nas dwojga. Na to mój mąż spokojnie powiedział: „Ja po tylu latach się już nie rozejdę”. Milicjant zgłupiał kompletnie.

Antoni Kujawski: To były lata 80., tak?

Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska: Tak, tak. To już były późne 80. Kiedy już pracowałam na wieczorówce, to był ten drugi strajk, który prowadził chyba Ałoś Szablewski. On chyba prowadził ten strajk, o ile sobie przypominam, i tam właśnie był Mazowiecki, Wałęsa i Lis, no, paru tam tych naszych stoczniovców. I pamiętam, że ten strajk był taki

osamotniony bardzo. Ja tam, oni już nie popełnili tego błędu, że można było podchodzić do bramy, tylko odgradzili taką dużą przestrzeń, poza którą nie wolno było wejść nikomu. I stoczniowcy byli osamotnieni. Oni się czuli tacy trochę opuszczeni przez świat. Środki masowego przekazu też się tak średnio nimi interesowały, bo też średnio dopuszczano te wiadomości do publicznego głosu i pamiętam, że wtedy właśnie pracowałam na wieczorówce i strajk się zakończył, wieczorem, po południu mieli stoczniowcy wychodzić, opuszczać stocznię. Ja wiedziałam, że ja tam muszę być, chociaż powinnam być w szkole na lekcji. Poleciałam oczywiście i zobaczyłam sytuację taką, że kilka osób stoi przed bramą stoczni, tam w głębi w tej uliczki, ponieważ ZOMO nie dopuszcza ludzi do kontaktu ze stoczniowcami w ogóle. Pobiegłam więc dalej, zobaczyłam zupełnie puste ulice, gdzieś na wysokości biblioteki PAN-u tam, w tej uliczce stało kilkadziesiąt czy może nawet kilkaset osób, ale za kordonem zomowców, więc wyobraziłam sobie tę sytuację, że oni będą szli pustymi ulicami miasta. Do tego nie mogłam dopuścić absolutnie. Tam byli moi uczniowie, również ludzie ze Stoczni Remontowej, o której Urban mówił, że tam jest 300 czy 200. 200 stoczniowców tam siedzi, to jest w ogóle pustka i tam nie ma co mówić. Więc pomyślałam sobie, do tych 200 to ja dołączę, bo tam jest Kazio, mój uczeń. I stanęłam za tymi zomowcami, ale oni mieli wtedy rozkaz nie bić ludzi więc ja tego nie wiedziałam, ale dopóki nie zaczęła się akcja, więc tłumaczyłam im, tamtemu jednemu, przed którym stanęłam, mówię: „Proszę pana...”, podobno złapałam go za klapy. Ja tego nie pamiętam, ponieważ byłam w emocji, to mi dopiero koleżanka przypomniała, i tłumaczyłam: „Proszę pana, ja muszę tam być. Pan tego nie rozumie? Ja tam po prostu muszę być”. Zomowiec nic nie rozumiał, ale ja na szczęście jestem krótka, w związku z tym jak usłyszałam tam taki gwar koło stoczni, to po prostu przeleciałam mu pod łokciem. Oni tak się trzymali wszyscy nawzajem, żeby nie dopuścić tłumowi, a ja przemknęłam mu pod łokciami i wybiegłam na ulicę jak idiotka zupełnie sama. Ale wie pan, jak już jedna wybiegła, to ludzie nie zdzierzyli i zaczęli się przedzierać przez ten tłum, i nagle zrobiło się na ulicy pełno ludzi. Tak że jak już stoczniowcy do nas doszli, to już był szpaler ludzi i pamiętam właśnie taką sytuację, że wołali ci chłopcy moi: „Nas jest 200”, a szło ich ze dwa tysiące co najmniej. Wtedy ja do nich dołączyłam i też tak krzyczałam. Tak że to była moja taka demonstracja z okresu wieczorówki. A potem to już... Potem to już się bałam po prostu, że dostanę w łeb, bo kamienie latały, różne rzeczy się działy, te pałki szły w ruch. Ale jakoś udało się. Nigdy nie wpadłam pod pałkę. Raz w życiu bieглиśmy z mężem w stronę Akademii Medycznej. Tam ja utknęłam na tym płocie pomiędzy torami. Nie mogłam się przedostać. W końcu ktoś mi tam pomógł przez ten płot przeleźć i nie biegam za szybko, w związku z tym ludzie, ten peleton ludzki nas wyprzedził. Myśmy zostali tak zupełnie z tyłu i to ZOMO tuż za nami, jeden maruder taki, oni pobiegli tam za tym głównym peletonem, a jeden maruder został i do nas z pałką. Ale nie spodziewał się naszej reakcji, bo myśmy oboje złapali go za rękę i on powiedział tylko: „Och, kurwa” i poszedł. Tak że nie udało... Jakoś żeśmy wyszli cało z tego. Różne były sytuacje. Śmieszne były, zabawne były, były dramatyczne. Ale to stan wojenny w sumie to nie był zły okres. Aha, ale ja jeszcze nie powiedziałam o rzeczy najważniejszej. Mianowicie, że w tym stanie wojennym, to ja się parałam podziemnym dziennikarstwem. Jak wyszłam z internowania, to natychmiast nawiązałyśmy kontakt z tymi paniami z komisji, Tajnej Komisji Zakładowej, które właściwie prowadziły regularną działalność związkową. Taką właśnie regulaminową, więc zbieranie składek, pomoc rodzinom represjonowanych. Ale to wszystko tak się trochę rozprasało w powietrzu. Dlatego, że nie było takiego środka informującego ludzi. Czegoś, co by ludzi jakoś tak zbierało do kupy i integrowało, co by ludzie wspólnie czytali razem, jakoś dowiadywali się o czymś. I wtedy wymyśliłam, że potrzebna jest gazeta. Gazeta to był straszny cios, ponieważ one się tego nie spodziewały i wcale nie miały jakby w planie tego. Ale poparł mnie Bronek Sarzyński, który też był fanem tajnego drukowania i powiedział: „Tak, to ja to technicznie załatwię, a wy to tam spróbujcie to zredagować”. „No, tak, ale jak my zredagujemy, a jeszcze do tego podpiszemy,

że to jest Tajna Komisja Zakładowa, to nas wyłapią". Więc na początku nie podpisywałyśmy, ale potem już szła pod szyldem. Najpierw „Solidarność Nauczycielska”. Wymyśliłyśmy, że tym tytułem będzie „Kontakty”. Kontakty, czyli sposób łączenia się. To było właśnie wtedy nam najbardziej potrzebne. I te „Kontakty”, początkowo dziewczyny mi w tym pomagały, jakoś tam przy kolportażu, przy różnych sprawach. Bogdan Borusewicz się zainteresował i powiedział, że... No, pomagał mi też, czasem jakiś papier, czasem jakąś emulsję, bo to też się sprowadzało z Zachodu emulsję, myśmy tutaj nie mogli dostać. Chłopcy od „Naszego Czasu” zrobili mi ramki, zrobili mi całą tę taką konstrukcję, przeszłam szkolenia odpowiednie i stwierdziłam, że jestem absolutnie samowystarczalna. Sama piszę, sama redaguje, sama drukuję, sama czytam. Ale sieć się rozwinęła tego kolportażu i to pismo właściwie wychodziło przez sześć lat. Z tym że potem entuzjazm dziewczyn jakoś wygasł, moich tych przyjaciółek. One sobie dzisiaj bardzo cenią to, że „Kontakty” wychodziły, stale o tym przypominają, ale wtedy jakoś nie uczestniczyły w tym. Nie wiem dlaczego. Dość, że... Ja dosyć szybko zostałam sama przy tym. Musiałam sobie radzić, ale sobie jakoś radziłam, bo uznałam, że jest dług do spłacenia za moje córki, za moje dzieci. Muszę im tu za to zapłacić. To, czego oni się najbardziej boją, czego najbardziej nie lubią. Słowo. Wolne słowo. Zbierałam materiały, rozmawiałam z ludźmi, wysyłałam, robiłam. Tak że to uważam za swój właściwie najlepszy okres i największy sukces. To, że mi się udało utrzymać to przez sześć lat. Na początku miałam jakąś pomoc z komisji, finansową, bo przecież ci drukarze, którzy pomagali mi drukować, żyli z tego. Oni się ukrywali i to byli ludzie, którzy się ukrywali przez pięć lat. Musiałam im płacić. Więc to nie było tak zupełnie za darmo to pismo. Chociaż rozdawaliśmy je za darmo. Niemniej jednak robiłam takie rzeczy jak na przykład cegiełki, okolicznościowe pocztówki. Mój zięć szczęśliwie był malarzem, jest malarzem, plastykiem, i on mi pomagał robić, znaczy wykonywać te projekty pocztówek rozmaitych, które sprzedawaliśmy po prostu ludziom za jakieś tam nieduże pieniądze, okolicznościowe pocztówki z okazji Wielkanocy, Bożego Narodzenia, tam jakichś innych świąt, 11 listopada. I z tego pismo żyło przez jakiś czas, ale potem wsparły je ambicje. To chyba Małgosia Szwejkowska miała takie ambicje, żeby wydawać „Wiatr od morza”. Że koniecznie potrzebny jest „Wiatr od morza”. To już był Okrągły Stół właściwie, to już tam „Wiatr od morza” długo tam nie istniał, ale fundusze zostały przelane na „Wiatr od morza”, czyli ja musiałam właściwie z powodu braku funduszy, z najbardziej prozaicznej przyczyny zakończyć działalność. Niemniej 60 numerów pisma wydałam, czyli co miesiąc wychodziły regularnie, z wyjątkiem miesięcy wakacyjnych, wychodziły regularnie „Kontakty”. To było właściwie trzy pisma takie, które wychodziły regularnie. „Nasz Czas”, „Kontakty”, „Gryps” i „Lewki”, Solidarność, rozważa... Cztery gazety, które rzeczywiście co miesiąc się ukazywały regularnie. Nie były efemerydami, tylko były regularnie czytana prasą.

Antoni Kujawski: Czy w „Kontaktach” także jacyś inni autorzy uczestniczyli, czy wyłącznie...

Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska: Naturalnie. Byłoby fatalne, gdyby to był tylko jeden głos. Dość długo, prawie do śmierci, Lewtak, Romek Lewtak pisywał. On miał taki cykl cały „Szkoła na miarę XXI wieku”, i on tam pisywał swoje rozważania na ten temat. Miałam młodego nauczyciela historii, który historyczne teksty przekazywał. Był jeszcze jakiś...

Antoni Kujawski: Nazwisko może?

Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska: On się nazywał Tomek Burek. On taki był trochę hipis, właściwie to mu tak zostało chyba, tak myślę. Taki niezależny człowiek. Dostawałam również teksty ekonomiczne, często były to tłumaczenia

z francuskiego, ale nie znam autora, tylko przynosił mi je mój znajomy, architekt. Poza tym pisywał do „Kontaktów” jeszcze pracownik uniwersytetu, filozof, Andrzej Leszczyński. Takie właściwie felietony, takie lekkie teksty. Znaczący takie formacyjne. Więc nie byłam tak zupełnie już, to nie była taka chała, że tylko pani Pieńkowska siada i tworzy, ale ktoś tam jeszcze w tym uczestniczył. Tylko właśnie moje koleżanki nie pisywały, o to miałam żal. Bo chciałam, żeby to był głos od nas. Przepraszam, co?

Antoni Kujawski: Może one nie miały takiego zacięcia dziennikarskiego, bo to czasami brak odwagi, żeby się i napisać.

Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska: Ale tak bardzo chciały być dziennikarkami tego „Wiatru od morza”.

Antoni Kujawski: Czy w tych 60 numerach dałoby się wyróżnić jakieś cykle tematyczne?

Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska: Więc mówiłam, był ten cykl o szkole, był cykl historyczny. No...

Antoni Kujawski: Ekonomiczny.

Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska: Może też ekonomiczny, chociaż to było nieregularne, natomiast głównie zajmowałam się tym, co się dzieje w Trójmieście. Pisałam o ludziach niezależnych, o represjach, o takich rzeczach. Stały cykl był humorystyczny, na końcu był właśnie dowcip stanu wojennego też. Też żeśmy to uwzględniali. Anegdota jakaś.